



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GŁOCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spółt., kwartal. tal. pr. 2 sgr. 20.

POGA WĘDKA.

Z porządku dziennego zesła potrosze kwestya powodzi, zastąpiła ją kwestya cholery, — jedna kłeska po drugiej.

Cała Europa ze strachem pogląda ku wybrzeżom Morza Śródziemnego i nasłuchuje, jakie Hiobowe wieści o stanie epidemii szepczą światu aparaty telegraficzne, ile ofiar z dnia poprzedniego zanotują buletyny z Marsylii i Tulonu, tych dwóch najważniejszych do dzisiaj ognisk epidemii.

Jakby dla obchodzenia półwiekowego jubileuszu swego wstąpienia na widownią europejską, cholera azjatycka przywlokła się znowu przez morze i dotąd zdala przynajmniej zagraża wszystkim, ale Bóg raczy wiedzieć: czy długo tak zechce usiedzieć na miejscu i czy jednym skokiem, nie przerzuci się nagle w najodleglejszy punkt Europy?

Dotychczas narobiła tylko dużo popłochu i wywołała istny chaos zdań i poglądów specjalistów i laików na naturę zabójczego zarazka. Sprzeczność w poglądach największych powag lekarskich nie może żadną miarą przyczynić się do uspokojenia opinii publicznej, która nie umie pogodzić zdań D-a Kocho ze zdaniem Pasteur'a i ze wszystkiego wnioskuje jedynie, że „morowa dziewczica“, kpi sobie jeszcze z uczonych deliberacyi, a zrobi to, co zechce, i tak, jak jej się podoba.

Dla dodania sobie i drugim ducha na różne głosy powtarzają lekarze jedno tylko hasło: „Nie bójmy się!“ Łatwo to zalecić, ale zastosować się do zbawiennej podobno rady, zabezpieczającej od nieszczęścia — trudniej, niż się komu zdaje.

— Nie bójcie się, — przestrzegają specjaliści, przestrzegają dzienniki, przestrzegają ludzie żywymi pisanem słowem, a ten i ów trzyma się za żołądek i dygocząc zębami, powtarza sobie nawnie:

— Boję się, żebym się... nie bał.

Najlepiej byłoby, aby nie alarmowano zanadto ogółu sensacyjnymi plotkami i wieściami z dnia na dzień, które wzrastają z muchy w słonia i szerzą jeszcze większy popłoch; aby kontrolowano bardziej pogłoski, zanadto pochopnie rozpowszechniane przez codzienną prasę, żadną w ogórkowym sezonie jak najbardziej zajmującego materiału.

Dla miłości reporteryi i popularności dziennika nie godzi się narażać ogółu, który karmi się denerwującą strawą i usposabia tem bardziej do cholery.

Z drugiej strony nie podobna lekceważyć obowiązków ostrożności i z umysłu, albo lekkomyślności przemilczać o niebezpieczeństwie, wszelako obowiązki te, przedewszystkiem ciążyć powinny na kommissyach sanitarnych, instytucjach lekarskich i władzach porządku i bezpieczeństwa publicznego. Dopiero przez nie stwierdzone fakta służyć powinny za przestrożę lub wskazówkę podaną w stosownej chwili szerszemu kołu publiczności.

Wszystkie większe miasta zagranicą, zabrały się energicznie do środków zapobiegających, do przygotowań koniecznych na wszelki wypadek, pod hasłem: „strzeżonego Pan Bóg strzeże“. U nas najmniej może dotąd zrobiono pod tym względem, jakkolwiek stosunkowo chyba największej rozprawiano i papieru napsuto, na temat dezynfekcyi, higieny, potrzeby urządzenia służby sanitarnej, przygotowania środków pomocniczych, etc. etc.

Wypadek prawdziwej cholery, czego Boże broń — w Warszawie, spadłby jak grom z jasnego nieba i wywołał zamieszanie, w którymby więk-

szość głowy potraciła, bo wszystko, jak zwykle, odkładamy na ostatnią chwilę, pocieszając się tem naszym pocziwem: „Jakoś to będzie, Pan Bóg łaskaw...“

Nie łatwa, co prawda — sprawa, zaprowadzić u nas tak od jednego rozmachu wszystko to, czego brak miastu pod względem sanitarnym, bo oprócz energii wykonawczej, potrzebaby jeszcze w usposobieniu naszym i charakterze pewnego czynnika, bez którego obywalimy się dotąd, t. j. silnej woli i stanowczości.

Co pomogą wszystkie rady, przestrogi, nakazy i nauki, jeśli słowo wleci z wiatem, mimo uszu, a stare złe podawnemu się plenił...

Zalecają np. czystość do ideału posuniętą, a całe dzielnice lśnią się od brudu i śmiecia po ulicach, podwórzach, domach i mieszkaniach; zalecają dezynfekcyę, a co rano i wieczór całe miasto, nie wyjmując nawet pryncypalnych ulic — pławi się w zabójczej atmosferze wyziewów najszkodliwych, roznoszących miliardy miazmatów i mikrobowo szkodliwych.

Najważniejszy czynnik utrzymania czystości i zdrowia: woda, jakby na domiar złego, stała się w Warszawie *rarytasem* i w mieście liczącem około pół miliona mieszkańców, położonem nad dużą rzeką, dnie całe trzeba się obchodzić bez wody, albo łowić ją, jak ambrozyę po nocach, albo pożyczać od sąsiadów szczęśliwych, którym udało się większe porobić zapasy w pomyślnej chwili przyływu w wodociągach.

Kwestya wodna stała się w ostatnich dniach zwłaszcza lipcowej kanikuly... kwestyą palącą. Nie było przykładu, aby o pełną konewkę prowadzono istne boje przy kranach ulicznych i rozlewano krew nie na zarty, — a zdarzało się to teraz niejednokrotnie w kronice wypadków miejskich.

Dzieło p. Lindleya postępuje żółwim krokiem i jak ktoś złośliwie powiedział: „woda w nowych wodociągach będzie wtedy, kiedy jej pic komu nie będzie.“

Rozumie się, że w takich warunkach trudno się nie bać cholery, bo nietyle przestrasza ona, ile braki w urządzeniu i stanie naszych środków sanitarnych.

Powódz i cholera, pomimo całej swojej grozy, miały tę dobrą stronę, że przysporzyły sensacyjnego materiału w porze najgorszej martwego sezonu, kiedy człowiek wolałby być... ogórkiem, aniżeli istotą żyjącą, czującą, obdarzoną wszystkimi pięcioma zmysłami i skazaną na wegetację dokuczliwą na miejskim, rozpalonym bruku.

Współczucie dla powodzian nie ostygło, wielkość klęski poruszyła głęboko wszystkich, ofiarność publiczna zaspokoila pierwsze potrzeby nieszczęśliwych, a ciągle nowe jej dowody przybywają jeszcze i pomagają do zatarcia śladów okropnej klęski.

Z pierwszych dni katastrofy zanotować nam się godzi pełną poświęcenia działalność zacnych pan warszawskich, które zapisały się zaszczytnie na kartach kroniki filantropijnej, a pomiędzy nimi wspomnieć winniśmy nazwiska p. Tadeuszowej Czapelskiej, żony współredaktora *Kuryera Warszawskiego* i panny Anieli Bogusławskiej, znanej ze swojej szerokiej działalności dobroczynnej, na stanowisko szafarki publicznego grosza, w tejsze samej redakcji składanego. Obie te panie w towarzystwie siostr miłosierdzia i uproszonych delegatów odbywały w najkrytyczniejszej chwili wycieczki wzdłuż brzegów Wisły, rozwożąc żywność, zapomogę i pociechę nieszczęśliwym mieszkańcom okolic dotkniętych powodzią.

Za takie poświęcenie należy się im, jak i wszystkim, którzy w tej szlachetnej misji udział przyjmowali—wyraz gorącego uznania.

Obowiązek dalszego wspomagania biednych powodzian, przyjęły obecnie na siebie utworzone komitety miejscowe; bardzo słusznie odezwały się głosy, aby pomoc tę zorganizować praktyczniej i nie rozrzucac samej tylko jałmużny, ale zamienić ją w wynagrodzenie za pracę, a co ważniejsza, zachować część funduszy na cięższą chwilę, którą sprowadzi jesień prawdopodobnie, gdy przyjdzie pora zasiewów, a puste spichrze i stodoły nie będą mogły dostarczyć ziarna. W tym czasie, skoro niebezpieczeństwo głodu zażegnanem zostało, a blizkie żniwa i roboty w polu dostarczą wieśniakowi zarobku, dobroczynność publiczna może swoje zadanie ograniczyć, ale baczyć powinna na przyszłość i zachować swe środki do stosowniejszej chwili.

Znaczny zasilek przybędzie komitetowi centralnemu w Warszawie, z rozprzedaży wydawnictwa „Na Pomoc”, o którym wspominaliśmy w ostatniej pogawędce; wydawnictwo to, chociaż trochę opóźnione ze względów technicznych, opuściło wreszcie prasę i—przeszło wszelkie oczekiwania. Spory zeszyt *in folio* zawiera 5½ arkusza pięknego druku i odznacza się przede wszystkim bardzo staranną i gustowną częścią artystyczną; sto czterdzieści cztery pióra autorskie, złożyły się na bardzo zajmującą wiązanke, która niezaprzeczenie jest ze wszystkich dotychczasowych wydawnictw w tym rodzaju najpokazniejszą i najbardziej urozmaiconą.

Kartę tytułową zdobi efektowny rysunek A. Piotrowskiego, a w zakończeniu dodano album autografów muzycznych, pomiędzy którymi kilka kompozytów odznacza się prawdziwie pięknym natchnieniem i werwą.

Przystępna cena pół rubla od egzemplarza jest stosunkowo do wartości cennej publikacji wcale niską tak, że nawet filantropijny cel nie potrzebuje być pobudką i zachętą dla nabywców; rzecz sama za siebie przemawia i starczy.

We Lwowie wydano zbiorowymi siłami podobną „Jednodniówkę”, na korzyść Kasy Towarzystwa artystów dramatycznych, ale ani firmą, ani treścią nie może się ona równać z wydawnictwem warszawskim. W Krakowie przygotowują na dochód powodzian galicyjskich francuzko-polskie album p. t. „Wisła”, zaś w Kijowie artyści i literaci rosyjscy podobną publikacją z filantropijnym również celem, przyniesienia pomocy ofiarom ostatniej powodzi: „Dla braci.”

Podniesiono tedy wszystkie możliwe upusty i służy dobroczynności publicznej, aby wspólnymi siłami ratować biedę i nędzę.

Ten duch ofiarności i poświęcenia powiał tak silnie, że nawet wywołał w innym kierunku obawy, graniczące z bohaterstwem w gotowości usłużenia bliżnim i ludzkości. W Warszawie, za przykładem jakiegoś Francuza, który w Paryżu oświadczył Pasteurowi, że pozwoli sobie dla doświadczeń naukowych zaszczerpieć jad wściekły—znalazło się aż dwóch kandydatów, którzy ofiarowali się na podobne experimenta z zarazkiem cholery, i z całą pogardą życia dla wyższego celu chcieli pojechać do Tulonu, albo do Marsylii i tam oddać się do dyspozycji lekarzy specjalistów.

Wolno jest robić podobne propozycje, uszlachetnione ideą poświęcenia dla pożytku nauki i dobra bliżnich, ale ani nauce, ani ludzkości nie wolno korzystać z takiej ofiary, równającej się samobójstwu. Pojedynczy wypadek, odosobniony experiment niewiele nauczy i pożytku stanowczego nie przyniesie dla rozwiązania kwestyi, a cena ludzkiego życia jest za wysoką, by nią w tak problematycznym celu lekkomyślnie szafować.

Od pewnego czasu wybuchła w Warszawie istna mania samobójcza, której ofiarą padło około dziesięciu osób w przeciągu dwóch tygodni. Najgłośniejszą śmiercią, skończył pewien młody człowiek z Pułtuskiego, Kazimierz T., zastrzeliwszy się w dzień pod kazałnicą kościoła Święto-Krzyszkiego, skutkiem czego ks. arcybiskup Popiel musiał sprofanowaną rozlewem krwi świątynię rekonskrować w dwa dni po wypadku tak sensacyjnym.

Rozstrój nerwowy i moralny, samowolne wykołowanie się z tych prostych i naturalnych dróg, jakimi młodość kroczy i rozwijać się powinna, doprowadziły go do przepaści zwątpienia i zniechęcenia, a na nieszczęście doprowadziły z całą samowiedzą złego, z poczuciem, z jakąś fatalnością, która zaciążyła nad jego zdrowiem i życiem. Samobójstwo to było czynem wyrozumowanym, krokiem rozpaczliwym, do którego przystąpił w listach pozostawionych i w testamentcie, obowiązującym rodzinę, do ogłoszenia konkursu z nagrodą 1,500 rs., za napisanie dzieła „o moralnem i fizykiem wychowaniu młodzieży...” Szczególniej duchowieństwu przekazał tę ważną sprawę umoralniania umysłów młodych i stróżowania, aby nie wypaczały się przedwcześnie; tem nawet chciał nadać więcej nacisku i rozgłosu, iż odebrał sobie życie, u stóp tejsamej kazałnicy, z której słowo nauki Chrystusowej, powinno rozświecać ciemnie dusz młodych, w pobliżu ołtarza i konfesyonału, u których nauka religii, pocieszeniem i drogowskazem stać się powinna.

Czy wszelako ten testament, krwią przypieczętowany, pod właściwym dostał się adresem, czy tylko duchowieństwo samo, dźwigać musi ciężar takiego obowiązku i odpowiedzialności, w sprawie moralnego wychowania młodzieży, dziś—kiedy wpływ jego, z tylu innymi ważyć się musi?... i czy ostatecznie najlepiej napisana książka, potrafi złemu zaradzić—o tem wszystkim za mało widać rozmyślał nieszczęsny samobójca przed ostatecznem wykonaniem swego rozpaczliwego postanowienia.

Zdrowie duszy i ciała młodego pokolenia jest tak ważną sprawą, a tak rozmaicie komplikowaną w dzisiejszych warunkach, że potrzebowałyby bardzo wielu reform, w całym systemacie wychowania, bardzo wielu zmian i poprawek, które poza zakres działalności i wpływu duchowieństwa dzisiejszego sięgnąć-by musiały.

Jak i kiedy dokona się ta reforma, pod względem moralnym?—przewidzieć dzisiaj niepodobna; pod względem fizycznego wychowania młodzieży, za które łatwiej przyjąć możemy odpowiedzialność w dzisiejszych warunkach—zaczyna się robić, co można.

Krokiem takim naprzód ku lepszemu jest poniekąd szczęśliwie rozwijająca instytucja kolonii letnich dla słabowitych dzieci, tak pojęciowsku i poobywatelsku popierana energią i zachodem Dr. Fritsche. Pisaliśmy już o tem w jednej z ostatnich Pogawędek naszych; obecnie zanotować winniśmy szczegół pocieszający, że dzięki publicznej ofiarności i staraniom głównego opie-

kuna tych kolonii, udało się w roku bieżącym, nieomal całą setkę chłopców i dziewcząt wysłać na wakacje kosztem składkowym.

Dr. Fritsche, wszelako nie chce poprzestać na owych 99 szczęśliwych wybrańcach, którzy już używają wiejskich rozkoszy i przyjemności, ale nową odezwą puka do miłosiernych serc i hojnych kieszeni, dopraszając się, by mu umożliwiono w Sierpniu wysłanie nowej partii małoletnich kolonistów. Żąda on bardzo słusznie małej części tego, dla podniesienia stanu zdrowia ludzi, co się na podniesie rasy zwierząt wydaje rokrocznie. „Przynajmyż ludziom, choć częściej tych praw do naszej zabiegliwości i ofiarności,—powiada w zakończeniu swej odezwy—któremi tak hojnie obdarzamy zwierzęta.”

Prawda, że obecna chwila jest ciężką do nowych ofiar i składek publicznych, ale nie rozchodzi się tu o wielkie summy, i gdyby same dzieci warszawskie zamożniejszych rodziców chciały sobie odmówić jednego dnia owoców, a pieńki zamiast połknąć w postaci opodarczanych dziś czereśni, malin i poziomek ofiarowały na cel powyższy—nowe kolonie zaroilyby się w Sierpniu gromadką szczęśliwych osadników, a zasługa społeczna byłaby pełniejszą i pożyteczniejszą o wiele.

Śmutny los każe nam krzyżykami kończyć nasze gawędy, i dzisiaj pamięci czytelników musimy polecić dwa nazwiska, które śmierć przekreśliła na liście pożytecznych lub zasłużonych w naszym społeczeństwie. Jeden z trzech najwytrwalszych członków wyprawy naukowej do Afryki, pod firmą Stefana Rogozińskiego, młodzieniec pełen zdolności, energii i najpiękniejszych nadziei, Klemens Tomczek umarł na wyspie Mandaleh, strawiony żółtą febrą, której się nabawił w wycieczkach, wgląd nieznanego lądu w poszukiwaniach jezior Liba. Dwóch tylko *usque ad finem* zrezygnowanych na śmierć lub zwycięstwo, Rogoziński i Janikowski, pozostało z całej wyprawy i w tem osieroceniu; nie tracąc ducha, pracować zamierzają około dopięcia swego celu.

Śmierć ukochanego towarzysza nie zraziła ich—pójdą dalej, choćby przyszło tylko mogiłami swemi zaznaczyć szlaki po drodze do nowych odkryć geograficznych.

W Krakowie nagle zmarł Włodzimierz Milowicz, publicysta i dziennikarz, korespondent do gazet warszawskich. Pracownik był szczerzy i pożyteczny, nie tylko atrament przelewał dla dobra ogółu, a kochał swoje społeczeństwo i służył mu najlepszymi swymi siłami...

Udział żon w winach mężów

przez

Wandę Podgóorską.

(Dokończenie)

Złe, o którym mówimy, to jest: wydatkowanie nad możność, pragnienie używania za jakąbądź cenę—jest tak silnie zakorzenione, iż zdawałoby się istnem niepodobieństwem chcieć je wyplenić, bo staje się już ono niemal charakterystycznym znakiem naszych czasów; jednak wierzymy silnie, iż kobiety mogą to złe zwalczyć—a nawet, że one tylko, jako gospodynie i matki rodzin, mogą je zażegnać. Większa część naszych kobiet ani się domyśla, iż tak wielka przemiana społeczna spoczywa najzupełniej w ich mocy; że, będąc źródłem złego, mogą w jednej chwili zatać je, całą swą rodzinę natchnąć wyższą myślą, ideał uczciwości postawić wysoko i zbudzić dlań konieczne poszanowanie w dzieciach swoich, podnosząc je jednocześnie do wyższej godności ludzkiej. Podjęcie walki ze złem w tym kierunku jest dziś najpierwszym, najwyższym obowiązkiem kobiety, jest twardą, żelazną koniecznością, od której nie wolno się usuwać, jeżeli w sercach bije jeszcze zacna, święta miłość swego narodu, jeżeli

kobiety nie są wyrodnymi córkami staropolskich, nieskalanej uczciwości, niewiast! Może potrzebują tylko poznać złe, spowodowane przez ich nieopatrzne postępowanie, przez płochość i beznamiętne uleganie wpływom zewnątrz działającym, aby cała ich uczciwsza większość poczuła w sobie szczerą poprawę pragnienie, szczerą uczucie żalu i inne wyższej ambicji porwy. Ale wiedzieć też powinny, że ciężka przed nimi otwiera się praca, boć każda poprawa choć jest możebną, niemniej łatwą być nie może. Poprawę tę radziłabym wprowadzić w życie energicznie, nie przez powolne, częściowe ograniczanie swych potrzeb, bo to trudniej jest znieść, a łatwiej przytem wpaść w recydywę, i w taki sposób prowadzona walka z próżnością, z chętkami używania, z przyzwyczajeniami do wygod, jest stokroć trudniejszą, niż heroiczny ten wysiłek, który-by odrazu pod szlachetnego uczucia porywem cały ustrój życia nad stan zmienił, stosując go rozumnie, z kredką w ręku do zarobku męża. Trzeba najpierw za duże pomieszkanie zmienić, dawną służbę oddalić, wyrzec się kosztownych wyjazdów za granicę, przyjmowania gości, wytwornych strojów, a wychowanie i wykształcenie dzieci prowadzić mniej kosztownie, co nie znaczy gorzej, lecz tylko inaczej. Niech fałszywy wstyd nas nie krępuje, bo my jesteśmy narodem ubogim i właśnie używanie nasze wstydzić nas powinno, jako cecha lekkomyślności i słabego charakteru, więc nędzy moralnej, więc ubóstwa duchowego. Dalej, niech kobieta, jeżeli może, jeżeli obowiązki matki rodziny na to jej pozwolą, chwyci się jakiej pracy zarobkowej, choć przytem niezmiernie troskliwie obliczyć powinna, aby zarobek z jednej strony nie był stratą z drugiej—nie był odjęciem matki dzieciom, mężowi żony, domowi gospodyni: i ztąd też poza domowa praca mężatki tylko już przez ostatnią konieczność usprawiedliwioną być może. Ale to już jest zarobkiem, który nigdy nie zawiedzie, gdy żoną gospodarnością, skrzętną zapobiegliwością w oszczędzaniu zapasów domowych, umie domowi wydatków i ramionom mężowskim część ciężaru odbierze; gdy mężczyzna, rozpoczynając życie nowe, lżejsze, miłsze, zasmakuje w atmosferze jego wyższej, stanie się lepszym i szcześniejszym, a duch nieznaną dotąd błogości ogarnie całą rodzinę ludzi uczciwych. Żona nie będzie już dla mężczyzny kosztownym cackiem, nie będzie on potrzebował dla niej ruinować się, wyteżać wszystkich sił w nadmiernej pracy, lub, co gorzej, schylać się w dół ku mętnym źródłom zarobku, gdzie może dla wielu duszno i smutno, a już każdemu ciężko było. Złe samo przez się upadnie, gdy do niego podniety nie będzie, gdy się usunie konieczność, która słabych często popycha tam, gdzie sami skalanymi, upadłymi się czuli.

Ale, jeżeli kobiety będące już od wielu lat paniami domu, prowadzonego dawnym trybem, po przebyciu bolesnej walki zgodzić się dopiero mogą na taką reformę—żądającą umiarkowania gdy potrzeba im będzie na to wiele siły, nawet ofiarności, aby wyrzec się wielu rzeczy miłych, a przez przyzwyczajenie niemal koniecznych, tak dla nich jak dla ich rodziny: daleko łatwiej to przyjdzie tym, które dopiero wstępują w nową dla nich godność mężatki, pani i naczelniczki domu. Od nich to wymagać należy głównie rozumnego urządzenia życia. Niech dom nowozamężnej tak urządzonym będzie, aby nic w nim nie było nad stan i możność. Niech mężatka taka poświęci niejedną chwilę poważnemu obrachunkowi i rozpatrzeniu się, tak we własnym majątku, jak i w majątku lub możliwym zarobku męża: a wynik tego rozumowania niech odtąd stanie się najwyższem ich obojga prawem ekonomicznem. W tak urządzonym gospodarstwie już tylko czuwać potrzeba, aby nie uleść słabości, aby zbytek nie zakradł się niepostrzeżenie, bo jest on tak ponętnym, tak miłym i pociągającym, często nawet, jak wiemy, nie przez samolubstwo, ale przez słabe drogich nam istot ukochanie. Rozpoczynając życie nowe, z myślą wzniesioną ku wyższemu ideałom i obowiązkom, wspierając je na pracy i oszczędności, nigdy żona nie stanie się złym duchem męża swego, nigdy nie wyjdzie od niej podniecia do nieprawego czynu męża, a surowy sąd zaniebawiały, będzie hamulcem mężczyzny, gdyby nawet pragnął skłonić się ku złemu i za przy-

kładem towarzyszy chciał szukać bez wielkiej pracy niepomiarowych zysków.

Wprawdzie życie na takich zasadach oparte, może być nieraz twardą i surową szkołą mądrości, bo nieraz i pracy najusilniejszej jest zamało, aby zapewnić rodzinie, nie zbytek już, ale potrzebną wygodę, dać dzieciom, nie wykwinne wychowanie, ale taką naukę, która pozwoliłaby im łatwiej i lepiej torować sobie drogę przez życie. W takich-to chwilach właśnie, w ciężkich dla ojca rodziny chwilach, smutku i zniechęcenia, żona powinna być dla męża aniołem-stróżem i, jeżeli zobaczy najmniejszy cień słabości, zachwianie się charakteru męża, poddawanie się obcym wpływom, wpływom ujemnym, podwójnie mądrą i roztropną być powinna. Niczem się nie zrażać, przed niczem nie cofnąć, dopóki nie odkryje źródła udręczenia męża: i to jest jej obowiązkiem świętym. Spotka się ona nieraz przy jego wykonaniu z gniewem, z ironicznym uśmiechem, z brutalną odpowiedzią. —Tu kobieta już nie wkracza! To nie twoja rzecz! Ona przecież, wytrwała i łagodna, silna przez miłość, słodyczą i umiejętnością postępowania skłoni ku sobie męża i pozyska jego zaufanie. Taką przyjaciółką serdeczną, doradczynią w interesach może być każda kobieta, jakkolwiek bądź jest zawód męża, czy pracuje on samodzielnie na roli, w handlu lub przemyśle, czy też jest płatnym wyręczyicielem innych. Lecz do takiej godności mieszanania się w sprawy męża, wnikania w jego postępowanie, żona odpowiednio przygotować się potrzebuje, odkładając na bok wszelką płochość, lekkomyślność kobiecą. Niepowinna szcunku męża przez te wady niskie ani na moment jeden stracić, a dążyć musi do tego, aby mu wszczepić wiarę w powagę swego charakteru, w niezachwianą jego prawosć. Nigdy też puścić wietrznika, nigdy zalotna kokietka takiego wysokiego przywileju małżonki-przyjaciółki, małżonki-doradczyni, od męża swojego nie pozyska.

Potrzeba do tego jeszcze, aby mąż wierzył w nieograniczoną jej miłość i przywiązanie do siebie; aby to dwoje ludzi łączył węzeł miłości tkliwej, na wzajemnym szacunku oparty, ugruntowany na niezachwianej wierze w siebie.

Mąż kochający nawet przy małych zasobach bywa często dla żony rozrzutnym, i jeżeli ta żona może pieniądze otrzymane w darze, na przyjemność dla niej przeznaczony, na złą, ciężką godzinę odłożyć, wielką pomoc życiu swemu gotuje i często może to być skarb, który pozwoli jej najwyższe wartości szczęścia kupić. Ale na to trzeba mądroj i rozsądnej pani domu, kobiety gospodarnej, któraby wszystkie swe potrzeby, stosownie do zajmowanego stanowiska w należytej mierze trzymać umiała, w której domu żadnych naglających wydatków, żadnych długów na zadowolenie zbytkownej fantazy zaciągniętych niema.

Kobiety pracowite, oszczędne i wytrwałe, mogą być społeczeństwu naszego zbawieniem—dzielnicami pomocnicami w ciężkich trudach, podjętych dla dobra ogółu przez mężczyzn. Niech wzorem ich będą owe staropolskie matrony, które nie trwały mienia ojców i mężów na stroje i zbytki, lecz powiększały je skrzętną gospodarnością, czuwając, by skarbiec domowy zawsze był pełen, gdy wypadnie otworzyć go na potrzeby prawdziwe i nie tylko płoche zadowolenie miłości własnej na celu mające. Gdy matrony owe, żyjąc w czasach potęgi i szczęścia, tak surowo pojmowały obowiązki niewiasty w narodzie, cóż nam zubożonym ich córom czynić wypada? U nas to już wszelki zbytek jest ciężkim występkiem przeciw powszechności całej; wszelki zbytek, choćby na krocie, na miliony bogatej kobiety. Jeżeli majątek jest tak wielkim, to niech część jego idzie na pomoc uboższemu, na cele publiczne, niech powiększa się i wzrasta do olbrzymich wymiarów, czyniąc swych posiadaczy potężnymi materialnie i szanowanymi przez tych sąsiadów, którzy nam wyniosłe ubóstwo nasze zarzucają. Niech ten pieniądz, który zamieniony w kosztowny strój ma zdobić piękną panią, lub w postaci wspaniałego dyademu jaśnieć na jej czole, który ma spłonąć w fajerwerku hucznej zabawy, włożony raczej będzie w przemysł fabryczny, w handel lub rolę: a błogosławiony plon wyda, przysparzy dobrobytu krajowi, da setkom rąk zatrudnienie i chleb zgłodnia-

łym, natchnie wielu nową siłą i wiarą w siebie. U nas kobieta płocho, lekkomyślna, zbytnia, niegodna jest imienia obywatelki, i bynajmniej nie podziw, nie uwielbienie zyskuje, lecz surową naganą, sztydzący uśmiech, obwiniający o brak serca, o brak miłości dla społeczności swojej. Bo dziś czasy są ciężkie, czasy przesilenia i próby, czasy doświadczenia i cierpienia. Nie na różach spoczywamy; obecna chwila, to walka o dziś, niepewność o jutro: życie więc wszystkich powinno być surowem i umiarkowanem, i wolno nam tylko spożywać chleb powszedni w znoјnej pracy zdobyty.

Ale na takie życie ofiarne, pozbawione wszystkiego, co umila je i zdołi, potrzeba bohaterskiego zaparcia się samych siebie, a bohaterstwa od wszystkich wymagać niepodobna: to już tylko wyłączność dusz wyższych. Dlatego też i takiego purytańskiego obyczaju narzucać nie można wszystkim, a zwłaszcza tym, którzy mają środki na życie rozkosznej szczęśliwe. Lecz mamy prawo wymagać od nich, by ich zabawy, ubiory, zadowolenie estetycznych upodobań nie przechodziły w szaleństwo rozrzutności; by zawsze mieli na pamięci powszechne ubóstwo kraju; by z pracowitą gospodarnością zarządzali swem mieniem. Od tych kobiet szczególnie, które wraz ze starem, wielkim imieniem odziedziczyły majątek ojców i dziadów, wymagamy słusznie, by świeciły przykładem oględności i umiarkowania, bo na nie częściej się zwracają oczy ogółu, a przyjdzie im to tem łatwiej, iż prawie każda w przeszłości rodziny swojej znajdzie pierwowzór szlachetnej, patriotycznej postaci niewieściej.

Od wszystkich kobiet naszych żądamy więc, aby wzięły czynny udział w poprawie ogólnospołecznej przez zwrot ku pracy i umiarkowaniu w wydatkach. Ciężko im to przyjdzie z początku, lecz tam tylko gdzie ofiara, tam i rzeczywista zasługa istnieje. Do tej pracy nad uszlachetnieniem samych siebie powołujemy wszystkie, bez różnicy stanów i pojęć, bo wszystkie one grzeszyły zbytkiem i rozrzutnością. Na tej zacnej nowej drodze, niech je wspiera miłość kraju swego, uszanowanie dla tradycyjnej postaci kobiety polskiej i to przeświadczenie, że w imię dobra publicznego zawezwane do pracy, uczciwie się z niej wywiązały. A córki nasze, wychowane już w tej umiarkowanej oszczędności, w tem surowem czuwaniu nad sobą i nad całym układem życia, w tem sumieniem wykonywaniu obowiązków społecznych i narodowych, ochotnie podejmą tradycją matek, która podtrzymywana troskliwie przez kilka pokoleń, wejdzie na koniec w krew i ciało naszej kobiety i przyozdobi ją w przymioty dawnych niewiast naszych, w przymioty, które w czasach upadku tylko na chwilę zatracone zostały. Odnajdziemy je znowu, odkopimy jako skarb dobroczynny, który przeszłość zostawiła na pomoc dla dzisiejszego ubóstwa.

KTÓŚ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Rozporządzała więc robotami, tak jakby tu wszyscy pozostać mieli, zmuszała już pochowane sprzety i rzeczy dobywać—nie chciała słuchać nawet Tatiany.

Co wieczór Sylwan musiał wysłuchiwać zawsze tych samych wymówek—i dowodzeń—które się płaczem kończyły — a on na nie milczeniem tylko mógł odpowiadać.

W ostatku, jednego dnia, wśród długiego sporu z Tatianą, który na cały dwór słychać było, bo obie gwałtownie głos podnosiły—Horpyna padła, rażona krwią uderzeniem.

Dano znać synowi, który przyleciał, przeniósł matkę nawpół sparaliżowaną na łóżko i w tej chwili wysłał po doktora do Garwolina — zapowiedziawszy Harasymowi, aby konia nie szczenił i na złamanie karku śpieszył z powrotem.

Tymczasem on sam i Tatiana zrozpaczona, czynili, co mogli, aby czucie przywrócić, życie obudzić i utrzymać je do przybycia lekarza.

Horpyna żyła, lecz postradała mowę — pół ciała nie miało władzy ruchu. Stan był zagrażający. Harasym z lekarzem nie wrócił, aż w godzin kilka.

Mały, tłusciuchny, powolny konsyliarz Dobński, który tu po raz pierwszy się znajdował — po kilku słowach objaśnienia — poszedł do łóżka chorej i — starym zwyczajem, krew puścił. Potrzasał głową obojętnie.

Horpiński, obawiając się, aby go niepozorny dworek, chłopskie jego urządzenie nie zubożyło — zgóry zaraz zaofiarował honorarium, prosząc, ażeby przy chorej pozostał, dopóki-by niebezpieczeństwo nie minęło.

Doktor popatrzył obojętnie na pieniądze, schował je do kieszeni z równą krwią zimną i rzekł chłodno:

— I bez tego-by nie opuścił chorej.

Pozostał więc w pierwszej izbie, rozpatrując się, dziwiąc — a z największą ciekawością przyglądając Sylwanowi, którego mowa zdradzała wykształconego człowieka, a strój czynił go prostym parobkiem. Zagadki tej doktor nie umiając rozwiązać, rzucił kilka pytań — i dwunastkoma odpowiedziami się zaspokoił.

Noc przeszła bez pogorszenia, tak, że zrana lekarz mógł odjechać — czyniąc nadzieję, iż życie ocali będzie można.

Tylko — rzekł w progu do Sylwana — jeżeli ją zniecierpliwia, a drugi raz przypadnie co podobnego, już po mnie nie ma co posyłać.

Tatiana teraz z Pynią we łzach siedziały na ziemi przy łóżku i zawodziły pocichu. Oczy Horpyny szukały tylko syna.

Wziąwszy na siebie obowiązki opiekuna nad Zawierskimi, Wojtek Wierzbietą i przez przyjaźń, jaką miał dla Sylwana i oceniwszy pannę Michalinę, gdy ją bliżej poznał — zajął się gorliwie ich spełnieniem.

Terenia kochana się na to krzywiła, bo, czując wyższość nad sobą panny Zawierskiej — była zazdrosną i nie cierpiała jej. Żal miała wielki do Sylwana, iż mężowi jej to nieznosne brzemie narzucił.

Wierzbietę więc opieka ta była niemałym ciężarem, zamąciła mu do pewnego stopnia jego życie domowe, popsuka humor Tereni.

Napróżno starał się żonę uspakajać: nie mogła mu darować tej niewierności, — jak ją zwała. Należała bowiem do tych ślicznych osóbek, które potrzebują i wymagają, aby im zawsze na kolanach służyło — i tylko im jednym.

Wojtek się niezręcznie wygadał ze swem uwielbieniem dla panny Michaliny: tego było dosyć, aby ją Terenia znienawidziła. Znajdowała ją zarozumiałą, dumną, egoistką, arystokratką, nieznosną pedantką, i t. p. Ile razy Wierzbietę wypadło jechać do Zaborowa, robiła mu sceny; nie dawała się przebłagać, dąsała, gniewała. Wojtek z anielską powolnością znosił wszystko — bo — były to dowody przywiązania.

Starał się, oile możności, unikać zadrażnienia żony i nie bardzo często wybierał się do tych pań — ale one same, będąc osamotnionymi, nie mając nikogo, tylko jego jednego, ciągle się z czemś uciekały do niego.

Pani Zawierska nie lubiła pisać, zastępowała ją córka. Listy te do najwyższego stopnia oburzały Terenię, bo były ślicznie pisane, a choć ich treść nic nie zawierała, za co się gniewać mogła, upatrywała w ich stylu, w starannej formie, rodzaj podstępnej, niegodziwej kokieterii.

Wojtek śmiał się, całując żonę, która mu temi listami w twarz ciskała. Spodziewał się, że żona powoli nawyknie do tego stosunku i uspokoi się.

Ile razy jechał do Zaborowa, dla lepszego zabezpieczenia się, żonę zawsze ofiarował się brać

z sobą — na co ona rzadko się godziła. Gdy razem jechali, wyrzucała mu po tem, że ona musiała zawsze bawić starą Zawierską, a on — ciągle tylko szeptać coś z Michaliną.

— Moja najdroższa — mówił, bijąc się w piersi Wojtek — mogę ci poprzysiądź, jak ciebie kocham, jak kocham Emilke... że o niczem z nią nigdy nie mówimy, tylko o Sylwanie!

Przecież masz oczy i nie podobna, abyś nie widziała i nie czuła, że ona się w nim kocha — on w niej... nasza rozmowa regularnie się od niego zaczyna i na nim kończy.

Muszę jej opowiadać nasze stare dzieje — chce wiedzieć wszystko.

— No — to niechże go sobie weźmie tego idealnego, nieznosnego swego Sylwana, którego ja cierpieć nie mogę — i niech nam raz dadzą pokój!

Z czasem, chociaż pani Terenia, przekonawszy się o prawdziwości słów męża, znacznie mniej stała się drażliwą — nie mogła jednak pogodzić się ani z Zawierskimi, ani ze wspomnieniem Sylwana, który narzucił tę opiekę mężowi.

Wojtek, na prawdę, choć mu żona głowę trapiła wymówkami — nie gniewał się za to, że przyrządek go zbliżył do Michaliny, którą coraz wyżej cenić się uczył. W towarzystwie jej znajdował wiele przyjemności i sądził zawsze, że przyjacielowi usłużyć potrafi.

Rozmowy w Zaborowie w istocie niezmiennie zawsze prawie toczyły się tylko o Sylwanie. Z żywym zajęciem nie kryła się panna; Wojtek rozpowiadał chętnie to wszystko, co go w jej oczach podnosić mogło.

W początkach, mówiąc o Horpińskim, o jego położeniu, Wierzbietą się ograniczał ogólnikami: powoli jednak, gdy spostrzegł, że panna wiedziała lub odgadywała więcej, niż sądził — przyszło do poufnych zwierzeń.

Wojtek nie ukrywał przed nią, iż — dziwak ten dla matki chciał się wyrzec świata, do którego był stworzony i w którym młodość spędził. Miał nadzieję zapobiedz temu, ale rachował też na pomoc panny Michaliny.

— Pani masz nad nim wielką władzę — mówił w końcu — potrzeba jej użyć na to, aby go od nieodwracelnego rozpaczliwego odwieść kroku.

— Ale jakże się to da dokonać? — pytała Michalina. — Pan się mylisz, przyznając mi jakąś siłę: p. Sylwan jest w postanowieniach energiczny i wpłynąć na niego trudno.

— Wprost i otwarcie chcieć to czynić — odparł Wojtek — byłoby niezręcznym, i — bezskutecznym, ale sądzę, że są poboczne środki... Nie trzeba mu się tam dać zasiedzieć, należy go tu przyciągnąć, zmusić do niezrywania z nami.

— W jaki sposób? — pytała Michalina.

— Niech go pani wezwie do narady w interesach — mówił Wierzbietą — niech mu pani zresztą napisze, iż ja go zdradziłem, — wyznając, iż się chociażby przyczynił do uratowania Zaborowa. Masz pani więc prawo żądać, aby przybył z powodu tych pieniężnych interesów.

— Ja sama pisać do niego nie mogę — odpowiedziała Michalina otwarcie. — Wyznam panu szczerze — mama się obawiała, widząc moją przyjaźń dla niego, aby się bliższy między nami nie związał stosunek. Wymogła na mnie słowo, iż — nie wdam się pod żadnym pozorem w korespondencję.

Będiesz więc chyba łaskaw w moim imieniu, moimi słowy mu napisać, że go wzywam i proszę, — że się go spodziewam.

— Z chęcią to uczynię — rzekł Wojtek, ale, choćbym co do słowa powtórzył to, co mi pani poleci, wrażenie mojego listu nigdy nie będzie równe temu, jakiby jej własny uczynił. Napróżd — bez pochlebstwa, ja tak, jak pani, napisać nie potrafię; powtóre, sama pani przyzna — myśmy z sobą przyjaciółmi: on ze mną wcale się nie będzie żenować.

Michalina nie odpowiedziała nic i zadumana chodziła chwilę.

— Sprobnij pan napróżd — rzekła — a potem w ostateczności — ja z mamą pomówię: zobaczymy. Mamy obowiązek ratowania człowieka, który nas ocalił!

Michalina wiedziała już, dobywszy, co chciała, z Wojtką, że dla nich się całkiem poświęcił z mie-

niem swem Sylwan. Uspakajało ją to jedynie, że sunna została zabezpieczoną, a ona teraz czuwała nad tem, aby choć powolnie długi się spłacały.

Co myślała więcej? Bóg wie jeden — tymczasem o tem mówiła tylko.

Horpiński, choć dał swój adres przyjacielowi, zakławszy aby nikomu go nie udzielał; choć listy od Wojtki odbierał — odpisywał na nie krótko, a czasem nawet milczeniem je zbywał. — Pisanie sprawiało mu ulgę, robiło przyjemność; ale stanowiło ono właśnie węzeł wiążący go ze światem, z którym zerwać postanowił — wstrzymywał się więc od niego z wyrachowaniem, z przekonania... Powiedział sobie, że powinien był — pisać zapomnieć, tak jak teraz nie już nie czytywał.

Nie mógł jednak wyrzec się taksamo przyjemności czytania listów — Wierzbietą, który umyślnie rozpisywał się obszernie, mówił mu wiele o pannie Michalinie, opisywał swe odwiedziny w Zaborowie, powtarzał każdą rozmowę. A że miał na celu utrzymanie Horpińskiego w stosunku z panną Michaliną, — że myślał o tem tylko: listy były gorące i nawet dosyć zręcznie układane, aby Sylwana poruszały i nie dały mu nic zapomnieć.

Gdy jeden z tych listów z poczty przybywał, Sylwan z początku rzucał go w swej izbie na stół zrodzajem niecierpliwości — nie chciał czytać. Potem ciekawość, niepokój zmuszały rozerwać pieczętatkę, przebiecz oczyma — i rzucał list znowu; nareszcie odczytywał od deski do deski, a rozmowy z Misią często po kilka razy.

Następowała potem walka o odpowiedź. Sylwan mówił sobie, że nie powinien był, ani obowiązany, odpisywać. Lecz w liście zawsze się coś znalazło, co potrzebował odeprzeć: zaczynał więc od słów kilku, a raz wzięwszy pióro, wstrzymać się już nie umiał. Gorycz w sercu nagromadzona spływała na papier, smutek się wylewał z duszy. Napisał zawsze więcej niż życzył, niż postanowił, gniewał się na siebie — lecz list odchodził na pocztę.

Tak ta korespondencja z Wojtkiem, teraz jeszcze jedna go z przeszłością łączyła. Wiedział, że jej powinien był zaniechać, a odkładał to ciągle do jutra.

W myśli miał raz z opuszczeniem Rusinowego Dworu nie dać już nowego adresu i zginąć tak dla wszystkich. Opór Horpyny, potem choroba jej — ostateczność tę odwlokły.

Wierzbietą, na którego panna Michalina nalegała, pisał coraz częściej. Gdy Terenia nie puszczała męża do Zaborowa i przeszkadzała wycieczkom, panna Michalina w końcu zebrała się na odwagę pisania do Wierzbiety z otwartością zupełną.

A że Terenia listy te czytywała, i trochę treści ich była uspokojona — nie zabraniała więc mężowi odpowiadać.

Wojtek pierwsze z tych listów panny Michaliny zachował u siebie, wypisując tylko z nich co znajdował właściwym i później wszedł na pomysł szczęśliwy odsyłania wprost oryginałów Sylwanowi.

Zdawało mu się, że może — może panna Michalina sama sobie tego życzyła, chociaż przyznać się do tego nie chciała... Listy Misi — na Sylwana nie robiły w istocie wrażenie silne bardzo, zachwiała nim, jego postanowieniem, poruszyły i zmusiły do odpowiedzi wyczerpujących. Prosił w nich wprawdzie, aby jego listów nie pokazywał Wierzbietą pannie Michalinie, ale Wojtek się już puścił na zdrajcę i posyłał je lub nosił do Zaborowa.

W ten sposób związała się korespondencja, nie wprost wprawdzie, ale nie mniej żywa i otwarta. Może nawet pośrednictwo to czyniło ją swobodniejszą, bo z obu stron często godziło się więcej powiedzieć pośrednikowi, niżby wprost sobie napisać było można.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZA OCEANEM

WSPOMNIENIA Z PODRÓŻY

ODBYTEJ PRZEZ POLKĘ

do Brazylii.

I. Na Atlantyku.

„Tagus“ d. 9 Czerwca 18... r. Jesteśmy na pełnem morzu, na Atlantyku. Okręt, którym płynę, zdąża do Zatoki Biskajskiej, zawsze wzburzonej i groźnej, pomimo najpiękniejszej pogody. Sąsiedztwo to już teraz nawet daje się nam wszystkim dobrze we znaki. To też gwar ustał; podróżni jeden po drugim znikają z pokładu; znajduję się i ja w mej kajucie, trzymając się silnie stolika, który wraz z okrętem ciągle się kołysze, ale przytwardzony do podłogi, daje oparcie pewne. Siedzę i myślę o morzu i jego gniewie, o rodzinie mojej, którą u celu podróży powitam... jeżeli Bóg—jeden, na wysokości, a drugi, tam, w głębi—dopomoże.

W Bahii, mieście portowem północnej Brazylii, największem po stolicy, bawi obecnie siostra moja. Do niej jadę i tam spodziewam się ją zobaczyć.

Europe opuściłam w Southampton. Dnia 8-go Czerwca zrana wyjechałam koleją z Londynu, a popołudniu już wspaniały parowiec kompanii „Royal Mail“, „Tagus“, odbijał od południowych brzegów Anglii.

Nie wypowiem tęsknoty, która mnie opanowała, gdy po ucieszeniu się wrzawy, rozległ się sygnał odjazdu, pomost ściągnięto i okręt powoli ruszać się zaczął. Długo stałam nieruchoma, wzrokiem ścigając niktą coraz bardziej w oddaleniu brzegi lądu; pomimo szczerej chęci panowania nad sobą, łzy do oczu cisnąć mi się zaczęły. Oculił mnie z chwilowej apatii służący, wręczając depeszę i paczkę, tak jedno jak drugie dowody życzliwej pamięci przyjaciół Anglików, którzy, przewidując mój smutek, przesłali mi ostateczne słowa pożegnania i różne przybory niezbędnie potrzebne przy tak długiej i uciążliwej podróży, o jakich nawet wyobrażenia nie miałam.

Na widok krzątających się na wszystkie strony podróżnych przypomniałam sobie dane mi przestrogi, żeby zaraz po przybyciu na okręt odpać rzeczy i być w pogotowiu na wszelkie przypadłości, kiedy mianowicie na mnie, jak prawie na wszystkich podróżników morskich, przyjdzie kolej złożenia zbolalej głowy na poduszkę i oddania—patologicznego holdu niezłaganemu Neptunowi.

Schodząc na dół, spotkałam pana Moor'a, siwego jak gołąb i nadzwyczaj miłego starca, który mi się przedstawił jako administrator okrętu i oznajmił, że odebrawszy od przyjaciół moich list z prośbą o ułatwienie mi mojej podróży, począł od tego, że zamiast obranej przezemnie kajuty, przeznaczył dla mnie jednej obszerny salonik obok sali stołowej. Już tam rzeczy moje znieśiono. Dobry staruszek zatrzymał mi przy stole miejsce obok siebie.

Morze kołysało się coraz gwałtowniej. Trzeba było zejść czempredzej do kajuty dla rozpakowania rzeczy i przygotowania ich na wszelki wypadek. Te wszelkie wypadki na morzu przede wszystkim są potężnymi. Wobec nich wola ludzka tak maleje, że o niej mówić nawet nie można. Na okręcie, jeżeli się nie jest kapitanem, lub załogą—nie jest się niczem. Podróżny na pełnem morzu jest rzeczą bez woli, bez ruchu, bez władzy, kufer tłómk, bagaż z bielizną—tyle znaczy na pokładzie, ile człowiek, istota z duszą nieśmiertelną. Prosty majtek na morzu jest królem w porównaniu z największym dostojnikiem na lądzie. A wszystkich i małych i wielkich rzuca na kolana przed sobą jedna wspólna mocarka: Burza.

Całą noc i część dnia dzisiejszego spędziłam wśród najdolegliwszych, nieopisanych cierpień. Popołudniu wyszłam na pokład, gdzie świeże po-

wietrze tak mnie orzeźwiło, że już teraz nad wieczorem słowa te kreślę w nadziei, iż jutro wysłę je z Lizbony.

„Tagus“ d. 11 Czerwca. Dziś zrana przybyliśmy do Lizbony. Miasto zwiedziłam w licznej i wesołej towarzystwie. Kapitan na godzinę drugą zapowiedział sygnał odjazdu: kilka więc tylko godzin mieliśmy przed sobą, ale te nam wystarczyły do zwiedzenia miniaturowej stolicy, nie posiadającej żadnych wybitnych zabytków sztuki.

Lizbona uderza oczy podróżnego przede wszystkim swym planem, a raczej bez-planem: widać, że domy wyrastały tu tak, jak rosną chwasty w polach, drzewa w lasach: nikt im nie wskazuje gdzie rosnąć mają. Przy staro-dawności miasta, sięgającego jeszcze do wieków Rzymu, złożyło się to na charakter niezmiernie urozmaicony, oryginalny, jakiego nie dostrzedz w żadnym innem mieście europejskiem. Cóż-to dopiero być musiało przed strasliwym trzęsieniem ziemi! Ulice wąskie wiją się kapryśnie; domy małe, najrozmaitszych kształtów i architektury, świadczą o różnych fazach historii tego narodu. Upiększane kolumnami, wieżyczkami, krużgankami i dziwaczni przystawkami, zpoza zieleniących wzgórz malowniczo się przedstawiają. Środek miasta, ognisko handlu i przemysłu, wcale nie ciekawe, nie świadczy bynajmniej o zamożności mieszkańców w porządku i czystości. Obfitość i różnaitość najpyszniejszych owoców i kwiatów, uśmiechających się zdala do znużonego upałem pragnącego się orzeźwić podróżnika. Anglicy też całymi koszami owoce na okręt zabierali.

„Tagus“ d. 21 Czerwca. Od chwili wyjazdu z Lizbony od dziesięciu już dni statek nasz, z rozpuszczonymi żaglami przesuwają się majestatycznie po falach Atlantyku. Widnokrąg gdzieś w dali, w punkcie dla oka niedościgłym, łączy się z niebem i wraz z nim tworzy jedno wspaniałe sklepienie błękitne, wobec bezmiarów którego człowiek na okręcie czuje się małym, jak ślimak w muszli. W nocy księżyc i tysiące gwiazd, ponad nami i u stóp naszych i gdzie tylko wzrok sięgnąć może—błyszczą i przyswieca. Widowisko prawdziwie urocze!

Zachód słońca ściąga zwykle całe towarzystwo na pokład. Z początku panuje cisza ogólna; wszyscy przejęci wspaniałością widoku czują, że słowa myślowe nie starczą. Wtedy często się zdarza, że ktoś zanuci... Nagle inne głosy zawtórują aż pełną pierś zaintonowany hymn holdu przebrzmiewa w nieskończoności obszaru. Potem rozpoczyna się pogawędka i nieraz trwa do późnej nocy.

Wszystkie różnice, przeciwieństwa narodowości, urodzenia, usposobienia na wielkim morzu „sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem“—nikną. Wspólna dola i możebność wspólnego nieszczęścia zespala wszystkich. Natura ludzka jako typ, człowiek jako rodzaj, jako *genus hominum*, nie zawsze z najgorszej swej strony—na morzu na okręcie, dogodnie obserwować się dają. Solidarność rodzaju w jego indywiduach, tu się ciągle i mimowolnie objawia. Przegrody między człowiekiem a człowiekiem, tam, na lądzie, najsilniejsze, w salonach, nieuniknione wszędzie, tu, wśród tego milczenia i tej grozy—maleją do minimum. Wszyscy są dla siebie uprzejmi... każdy z początku patrzy się niedowierzająco na towarzystwo swoje, baczysz się stroni—unika zawiązywania znajomości, zbywa je półsłówkami; ale po kilku dniach gromada podróżnych stanowi jedno już tylko stowarzyszenie, w którym jeden troszczy się o drugiego, a wszyscy sobie radzą i pomagają.

Najwybitniejszą osobistością naszego towarzystwa jest dawny kapitan marynarki wojkowej angielskiej, który, skończywszy lata służby, wszedł do żeglugi handlowej i teraz jedzie objąć dowództwo nad okrętem oczekującym na niego w Ameryce Południowej. Człowiek ten świat cały objechał, chwytając wszędzie wrażenia głębokim i badawczym umysłem; zawsze ma coś ciekawego do powiedzenia i razem z panem Moorem stanowi oś obrotową dla całego towarzystwa. Jak każdy Anglik, jest on zawziętym nieprzyjacielem Francuzów; chełpi się z tego, że imfigla wypłatał, ułatwiając słynnemu Rochefortowi uciecz-

kę z wygnania, przez ukrycie go na dnie okrętu, gdzie nikt go odszukać nie mógł.

Wczoraj, po długiej pogawędce, rozumnej i ożywionej, wyrwało się komuś z ust kilka słów podziwu dla tak głębokiego daru obserwacyjnego. Oto, co odpowiedział kapitan:

—„Ludzie i fakta, snujące się codziennie przed nami, rozmaitym umysłem rozmaicie się przedstawiają. Z nich, jak z książek, trzeba umieć czytać nie tylko słowa, ale iść dalej, poza literę, głębiej szukać i odgadnąć. Jedna i ta sama książka zupełnie odmienne czyni wrażenie na różnych osobach. Jeden zaledwie zdola dostrzedz jej cel, jej założenie. Dla drugiego będzie ona skarbem niewyczerpanym najgłębszych wniosków, myśli uczuć, poglądów filozoficznych i prawd, malujących życie faktyczne i codzienne, a temsamem znajdzie żywe echo w jego sercu. W ogóle, zawsze i wszędzie siebie tylko widzimy, wszystko do siebie stosujemy, podług siebie sądzimy, porządkujemy rzeczy świata tego. To ja nasze właśnie paraliżuje nam władzę sądenia o świecie podług świata, czyli taką, jakąśmy mieć powinni. Egoizm przyćmiewa nam wzrok teoretyczny, równie silnie, jak nam psuje serce praktyczne—to jest zdolność do życia w innych, a nie tylko w samych sobie. Zapomnijmy na chwilę o sobie, a fakta osądzone już przy udziale sobkowstwa, inaczej się nam przedstawiać zaczęły: w szarych mrokach jesiennych dostrzedzemy tysiące świetnych promieni i mieniących się barw. Tak ja rozumem stanowisko umysłu ludzkiego w świecie. Staralem się zawsze patrzeć bez okularów egoizmu: i to cała moja zasługa.“

W tej chwili głośnie okrzyki zwiastują nam przybycie do Wysp Zielonego Przylądka, gdzie mamy obiecaną przez kapitana wycieczkę: spieszę więc na pokład dzielić ogólną radość.

Dnia 23 Czerwca. Wyspy Zielonego Przylądka, położone na wpół drogi do Brazylii, dają przystań statkom angielskim, które zaopatrują się tu w węgiel. Statki te przybijają do wyspy S-go Wincentego, małego skalistego kawałka lądu, bez najmniejszego śladu roślinności. Skwer, na którym, z największą trudnością, utrzymuje się jedno wyraźnie jedno, drzewo palmowe, stanowi słuszną dumę mieszkańców. Wkoło niego grupują się najpiękniejsze budynki, należące do miejscowej arystokracji biurokratycznej. Arystokracja ta zaś rekrutuje się z biur Telegrafu Podmorskiego Atlantyckiego i poczty.

Skwer, z trzech stron otoczony jest budynkami; z czwartej znajduje się przystań z pomostem, do której statki wpływają.

Helena Negroni.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY J. I. KRASZEWSKIEGO Z MAGDEBURGA.

II.

Tissot i tyssotyzm. — Dzieło Ojca Didona o Niemcach. Pochwala szkół — *En Allemagne*, przez p. Narjoux, architekta. Charakter ogólny książki. Architektura niemiecka; zarzuty p. Narjoux. Półkość i uganianie się za pozorami znanieciem naszego wieku. Francja nie lepsza od Niemiec. Uwagi p. Narjoux o zbytku w mieszkaniach. *Etre i paraître*. Berlin i jego budowy monumentalne. Wspomnienia biograficzne o Alexandre Manzonim przez Cezara Canth. Popularność Manzoni. Choroba i wspomnienie autora listu z r. 1858 z czasu pobytu w Mediolanie. Stosunki Canth z Manzoni. Pisarz, artysta, myśliciel, człowiek w życiu praktycznym. Szczegóły o ludziach wybitniejszych we Włoszech. D'Azeglio i Manzoni. Upamiętnienie autora *Wspomnień*. Powolne gaśnięcie poety. — Powieściopisarstwo francuskie; deszcz powieści. Ohnet i Guy de Maupassant. *Miss Harriet* i talent nowelistyczny. Przyszłość, jaką przepowiedzieć można Guy de Maupassantowi.

Z przyjemnością zaznaczam, że nie przywiązuję tu już dziś tej przesadzonej wagi do dzieł wydawanych o Niemcach we Francji, jaką przywiązywało dawniej. Niewarto było gniewać się na Tissota i tyssotyzm w ogóle. Dziś jest to już aż nadto widocznem: wszystko było tylko spekulacją księgarską. *Trop de bruit pour une omelette*.

szkoda było czasu i atlasu. Tissot nie ustaje, i znalazł nawet naśladowców; ale przestano go już czytać, przestano zajmować się temi plotkami, których zresztą nigdy nie podobna było brać ze strony poważnej.

Ponieważ jednak Niemcy są, i zawsze będą, zajmującym przedmiotem dla Francji, pisze się więc ciągle o nich, o ich położeniu, ich instytucjach. Widać w tem już postęp; czasami oddaje się sąsiadom swoim sprawiedliwość. Pomiedzy innymi ojciec Didon wystąpił z oceną bezstronną systematu oświaty publicznej, szkół i uniwersytetów niemieckich. Porównywa on pod względem tych instytucji Niemcy z Francją, a porównanie to wychodzi w zupełności na korzyść pierwszych. Nie podobało się to Francuzom; tem więcej chwalić potrzeba ojca Didona, że się raczej odważył na niepopularność, niżby miał wyprzeć się swoich przekonań. Pomimo to Niemcy ojca Didona przechodzą tu nie postrzeżenie. Nie znalazłem dotychczas jeszcze ani jednej wzmianki o tem dziele w czasopiśmie niemieckich.

Nie miałbym potrzeby wspominać teraz o dziele ojca Didona, mówiłem już bowiem o niem dawniej, gdyby nie to, że świeżo przybyła książka potwierdzająca jego wywody, a również poświęcona sprawie oświaty publicznej w Niemczech, i wykazująca w zakresie jej wyższość Niemiec nad Francją. Zapewne książka ta nie ma wartości poważniejszego już i głębszego studium ojca Didona, ale usiłuje przynajmniej oddać sprawiedliwość temu, komu się sprawiedliwość należy. Mam na myśli podróż znanego architekta francuzkiego, ucznia Viollet le Duc'a, p. Felixa Narjoux, wydaną u Plona w Paryżu (1884, str. 405, 16 rysunków). Tytuł jej francuzki: *En Allemagne. La Prusse et les annexes. Le pays. Les habitants. La vie intérieure*. (W Niemczech, Prussy i ziemie z niemi złączone. Kraj. Mieszkańcy. Życie w kraju.)

Głównym celem podróży przedsięwziętej przez p. Narjoux były studia architektoniczne—poznanie sztuki budowania w Niemczech. Podróżnik zwiedził kolejno Trewir, Frankfurt, Stuttgart, Monachium, Norymbergę, Drezno, Lipsk, Berlin, Wyspę Rugię, Hamburg, Kassel i Kolonię. Niezależnie od specjalnych swych studiów p. Narjoux prowadził jeszcze spostrzeżenia nad obyczajami, nad mieszkańcami kraju, a szczególnie zajmowały go szkoły, którym oddaje sprawiedliwość, że są wyborne.

Jedyna to może rzecz, która mu się podobała; książka zresztą pełna jest goryczy, źle ukrywanej — i tłumionych gniewów. Jako dostrzegacz, p. Narjoux wpada w błąd wszystkich podróżników, którzy, przebiegłszy kraj jakiś *à la hâte*, nie zatrzymawszy się w nim wcale, nie zawiązawszy stosunków, mówią o nim później na podstawie wrażeń całkiem niewystarczających, a niekiedy i nawskróś fałszywych. Moglibyśmy tu błędów takich przytoczyć bez liku, gdyby to dla podparcia tezy naszej potrzebnem było.

O współczesnej architekturze niemieckiej p. Narjoux wyraża się w sposób taki, jakby chciał obwinąć prawdę w bawelnę. W ogóle zarzuca dzisiejszemu budownictwu niemieckiemu, jego brak oryginalności, zapożyczanie się w przeszłości, dopasowywanie rzeczy dawniejszych do nowych, naśladownictwo, wyrzeczenie się indywidualności. Ale wszystkie te zarzuty, w części słuszne, możnaby z równym prawem zwrócić i przeciwko współczesnej architekturze w samej Francji, która absolutnie niczego nowego z siebie nie wydała — z wyjątkiem zbytku w szczegółach ornamentacyjnych, niezdołnego nigdy zastąpić, i wynagradzić braku myśli. Ten przepych w ozdobach znajduje się wszędzie; w budowlach Paryża i Wiednia tak dobrze, jak i w budynkach wznoszonych w Berlinie lub Frankfurcie.

Sam nawet p. Narjoux przyznać musi, że we Francji panuje w samej rzeczy ta potrzeba błyszczenia pozorami, zamiast jaśnienia istotą, to *paraître* w przeciwstawieniu do *être* — niemieckie „Schein“ i „Sein“. Stanowi ona jeden z rysów charakterystycznych naszego wieku. Słowa autora w tym przedmiocie zasługują na przytoczenie: Píše on z powodu Hanoweru (str. 361):

„Na mieszkania dla siebie chcemy mieć wiel-

kie budynki, wyglądające zbyt kownie, pysznie; każemy im się stroić w kolumny i pilastry; żądamy od nich, aby wyglądały jak pałace i dawały przechodniom wyobrażenie korzystne o swych mieszkańcach. Kochamy się w wielkich bramach, w przedsionkach z kolumnami, w schodach marmurowych. Uganiamy się na zabój za pozorami mogącymi dać innym złudzenie co do rzeczywistego naszego położenia. Chcemy się zawsze tylko pokazać i dlatego gotowiśmy nawet skąpić sobie wszystkiego u siebie, gdy jesteśmy sami, byle tylko wystąpić świetnie w dzień naznaczony na zbieranie się przyjaciół, znajomych, „stosunków“ naszych. Dziesięć razy w życiu przenosimy się z miejsca na miejsce, zmieniając przy tem, przeistaczając, wywracając wszystko do góry nogami w sposobie prowadzenia domu i nawyknieliśmy naszych. Dom ojcowski, ten dawny dom, w którym urodziliśmy się i w którym powinniśmy umrzeć, nie istnieje już dla nas... Jak tu przypuścić, abyśmy przy podobnych pojęciach mogli doznawać przyjemności w zamieszkiwaniu małych zwyczajnych, skromnych domków, zastosowanych do naszej kieszeni?”

Monumentalny wygląd Berlina nie podoba się architektowi francuzkiemu; musi on jednak przyznać, że wielkie dworce dróg żelaznych ogromem swoim i wspaniałością przewyższają wszystko to, na co w tym rodzaju architektury zdobyła się Francja. Mniej mu się już podoba ratusz. Stolicy Cesarstwa poświęca p. Narjoux dość długi artykuł, ale powstrzymał weń wiele rzeczy już oklepanych i które prosto przepisał z książek dziś już nawet we Francji powszechnie znanych.

Summa summarum dzieło p. Narjoux o Niemczech ma tylko tę, drobną zresztą, zasługę, że instytucjom oświaty publicznej przyznaje rzeczywistą ich wartość.

Książka, która nas żywo zajęła i miałaby prawo do wyчерpującego studium, jest wspomnienie biograficzne o Alexandrze Manzoni, napisane przez Cezara Cantù. (Medyolan; 2 tomy).

Manzoni jest jednym z tych niewielu szczęśliwych śmiertelników, którzy nie mieli prawie wcale nieprzyjaciół i zawistnych, i dlatego doznawali za życia i doznają jeszcze po śmierci powszechnej życzliwości. We Włoszech nie ma imienia popularniejszego nad imię Manzoni. Wyjątek stanowi jeden tylko Dante. Prawda, że Włoch przy nazwisku Manzoni myśli głównie o autorze *Narzeczonych*, a daleko mniej o poecie, który wyspiewał hymny; ale dzieło powyższe samo jedno wystarczy twórcy swemu do nieśmiertelności.

W r. 1858, podczas pierwszej podróży naszej do Włoch, przejeżdżając przez Medyolan, mieliśmy sposobność przekonać się naocznie o tej miłości, jaką Manzoni wzbudzał w swych ziomkach. Był on wtedy niebezpiecznie chorym i lękano się o jego życie. Nie podobna sobie wystawić niepokoju, jaki panował w mieście. Formalnie oblegano dom, w którym mieszkał poeta. Kto żył, śpieszył zapisać swe nazwisko; trudno było nawet docisnąć się do książki, która wypełniła się tysiącami nazwisk. We wszystkich kościołach odprawiano nabożeństwa, a arcyksiążę Maksymilian, albo sam osobiście przyjeżdżał, albo też codziennie kogoś przysyłał, aby dowiedzieć się o zdrowie sławnego człowieka.

Cantù należał do małego grona serdecznych przyjaciół poety, który żył zdala od świata, nie lubiał przyjmować, nie starał się o nowe znajomości i wogóle był mało przystępnym. To też liczba tych, którzyby mogli coś nowego powiedzieć o Manzoni i odmalować go takim, jakim był w głębi swej istoty, jest bardzo szczupłą. Wspomnienia, jakie mu obecnie poświęca Cantù, pełne są bardzo ciekawych szczegółów, dotychczas nieznanych, a wzbogacają je ułamki listów, dostarczonych przez rodzinę poety. We wspomnieniach znajdują się również i szacowne wiadomości o innych osobach, które utrzymywały stałe stosunki z autorem *Narzeczonych*. Nade wszystko zaś zaleca się książka Cantù tem wszystkim, co nam w Manzoni ukazuje człowieka, myśliciela i artystę.

Cały tom I *Wspomnień* zajmuje się pisarzem i myślicielem. Widzimy tu nawrócenie się Man-

zoniego na Katolicyzm, a raczej powrót jego do Kościoła, gdyż, nie przestawszy nigdy formalnie być Katolikiem, przywoził on tylko z Francji doktryny rewolucyjne, które później odrzucił pod wpływem innego otoczenia, pod działaniem studyów i pracy wewnętrznej nad samym sobą. Odtąd poeta dotrwał już w wierności dla Kościoła; nigdy przecież nie należał do stronnictwa *ultra* i trzymał zawsze z umiarkowanymi.

Cantù roztrząsa pierwsze utwory liryczne Manzoni, potem jego dramata, następnie romansy — istotne arcydzieło — który stał się tak popularnym; wreszcie inne prace. Obok tego rozbiór, stawia obraz zasad, które poeta niewzruszenie wyznawał i których piórem swem bronił. Nikt nie mógł podać tak dobrych wiadomości o Manzoni, jak Cantù; nikt nie mógł z większą znajomością rzeczy o nim pisać; nikt bowiem nie znał go bliżej, nawet Grossi i inni, którzy przez pewien czas żyli z poetą. Autor *Wspomnień* miał nadto jeszcze do rozporządzenia swego liczną korespondencją i notaty, i mógł się na nich oprzeć.

Tom II, poświęcony *człowiekowi*, nie jest mniej od pierwszego interesującym. Wielka część tego tomu daje nam szacowne wiadomości biograficzne o przyjaciółach, o znajomościach poety. Spotykamy wśród nich takich ludzi, jak: Arcognati, Collegno, Trecchi, Pecchio, Grossi, obaj Vitali, Ambrosoli, Romani, de Cristoforis, Torti i t. d. a z cudzoziemców: Thiersa, Görresa, Montalamberta, Lamartine'a, Balzaca, Dumasa, Bulwera — który Manzoniemu właśnie ofiarował swój obraz historyczny *Cola Rienzi*. Manzoni utrzymywał również stosunki z Ozanamem i sympatyzował z nim; ale Cantù nie znalazł w papierach żadnego dowodu stwierdzającego ten fakt.

Mówiąc o rodzinie Manzoni, nie podobna było opuścić Maksymiliana d'Azeglio, zięcia poety. Ku wielkiemu zdziwieniu naszemu, autor jest nieżyczliwym dla tego znakomitego syna Włoch i sądzi go z przesadną surowością. Prawda, że oba charaktery, obie indywidualności, pomimo wielu punktów stycznych między sobą, nie były bynajmniej do siebie podobnymi przez kierunek i nastrój duchowy...

Manzoni miał zakres działalności bardzo ograniczony: poezja liryczna, dramat, romans, studia historyczne. Pracował powoli, a dużo po sobie wymagał; zanim ogłosił *Promessi Sposi*, wprzód ich trzykrotnie własną ręką przepisał. Azeglio tymczasem był malarzem, poetą, romansopisarzem, historykiem, politykiem, ministrem, człowiekiem głośnym w świecie, (a koniec końców — także i spirytystą); robił wszystkiego potrosze, i łatwo zdobył sobie popularność, która dorównywała prawie popularności jego teścia. Cantù ma z tego ostatniego powodu jakby żal do d'Azeglia i o jego osobie i dziełach wyraża się z pewną ironią — z pod której sterczą kolce nieżyczliwości i uprzedzenia.

Jeden rozdział dzieła zajmuje się interessami i kierunkiem majątkowym, — człowiekiem praktycznym i zwykłym jego zatrudnieniami. Patrzymy tu na usiłowania Manzoni dla podniesienia uprawy wina i szafranu, hodowli jedwabników i t. p. Żadne z tych przedsięwzięć poety nie odpiściło mu się powodzeniem.

Dobiegłszy do 88-go roku życia, żyjąc ciągle w odosobnieniu od ludzi, czuć zaczął jak już stopniowo zamiera. Sam przytaczał własne wiersze napisane w młodości, jakgdyby miał przecucie swego skonu:

E sento come il più divin s'invola
Nè può il gingo patir della parola...

Gambe, occhi, naso, orecchi e, ahime, il pensiero,
Non n'ho più che mi dica il vero. *)

Miał przecież jeszcze swoje *momenta lucida*, w których rozumiał wszystko. Zgasł ostatecznie, jak lampa, w której zbrakło oliwy.

*) . Nogi, nos, oczy, uszy, myśl sama — o, biada;
„Nic zgola mi już dzisiaj prawdy nie powiada.“

Dodać tu potrzeba, że *Wspomnienia o Manzoni* dają nam poznać także samego Cezara Cantù, chociaż autor nie słania się nam wcale przed oczyma.

Gdybym chciał jeszcze pomówić z wami o nowościach francuzkich, nie zbrakłoby mi zapewne materiału, bo romanse, leją się na głowę jak deszcz. Niestety! Jest tam tyle obrzydliwości i śmieci, że coś lepszego wybrać nie łatwo. Przebijają się wszakże kilka nazwisk, kilka talentów, które warto zaznaczyć.

Znacie już Ohneta z jego dramatu *Właściciel Kuźni* (*Maître des forges*), granego obecnie w Warszawie. Powodzenie jego sztuk i jego powieści jest tak stanowcze, że niepodobna ich autorowi zaprzeczyć talentu. Jedno tylko powiedzieć tu trzeba: doskonały człowiek od rzemiosła, pisarz bardzo wprawny, Ohnet nie posiada oryginalności, nie ma własnego swego stylu. Zanałto podobny jest do ogółu śmiertelników, tak jak on zajmujących się pisaniem.

Nie powiedziałbym tego o powieściopisarzu Guy de Maupassant, którego wziętość podnoszą utwory jego najnowsze, pozwalając przewidywać w nim z czasem niebezpiecznego współzawodnika dla Alfonsa Daudeta.

Z ogłoszeń księgarskich widzę, że ostatni romanse Daudeta *Sapho* ukazał się już w języku polskim. Pozwalam sobie wątpić o dokładności tego tłumaczenia. Dla naszych czytelników, przywykłych do pewnej wstrzemięźliwości, do wstydu, niekiedy nawet przesadzonego, przedmiot i sposób przedstawienia bohaterów muszą się wydać prawdziwie zuchwałymi. Daudet wprawdzie nie jest nigdy tak brudnym, jak Zola, ale czasami jest zbyt surowym, — za wiele, jak dla nas, ma w sobie „realizmu“.

Najnowszy tom powieści Maupassant'a *Miss Harriet* jest zbiorem małych powiastek bardzo udanych, zalecających się oryginalnością. Z wyjątkiem *Miss Harriet* i *Dziedzictwa*, inne, jak: *Niteczka*, *Idylla*, *Garson*, *piwa!* są raczej małymi obrazkami w rodzaju Daudeta, niż właściwymi nowellami.

Nie każdy jest nowellistą, kto nim być chce. Łatwiej jest, zdaje mi się, według wzorów i utartych formułek napisać duży, kilkatomowy romanse, niż małą nowelkę, mieszczącą się na jakich dziesięciu stronicach. W Niemczech tylko Paweł Heyse, we Francji Daudet, Coppée i Guy, w Rosji Turgeniew umieli dotychczas w naszej epoce robić, wykończyć, wypieszczać te małe klejnoty. Inni — a dość tu przyczołżyć tylko nieszczerne próby Catule-Mendès'a, — dają jedynie dowód bezsilności swojej, chcąc naśladować mistrzów. Mogę się mylić, ale zdaje mi się, że po Guy de Maupassant'cie wiele spodziewać się można. *Vederemo!*

ROMANTYZM WE FRANCYI

przez

JERZEGO BRANDESA

w streszczeniu podał

Edward Lubowski.

(Dalszy ciąg — Ob. Nr 29).

XI. Teofil Gautier.

Teofil Gautier od 18-go roku swego życia, t. j. od chwili, w której poznał W. Hugo, pozostał aż do śmierci najgorętszym wielbicielem i heroldem mistrza. Nigdy, pomimo politycznych różnic, nie przestał mu być wiernym. Z natury już oryginalny w zachowaniu się i stroju, sprawił sobie jeszcze umyślnie na przedstawienie „Hernaniego“ czerwoną kamizelkę, na którą oczy oburzonych „filistrów“ patrzeć miały. Odtąd nazwisko jego zlało się z legendą o czerwonej kamizelce; świeci ona dotąd jako symbol entuzjazmu młodzieży dla

jaskrawości i przepychu kolorów w życiu. Atoli istotnie świecąca była dlań sztuka, nieograniczona miłość sztuki. Pozostał wiernym tej miłości aż do śmierci, ale w młodości dała mu ona sporo rozkoszy i potrzebną odwagę, dała mu zarazem skromność w podziwie dla artystów, — jemu, który sam przecie był mistrzem. Był on poetą, ale uwielbienie zrobiło go krytykiem; był zaś malarzem, zanim został poetą. Nikt tak gorąco jak on, nie zrozumiał oryginalności Delacroix, którego przepyszny kolorysta olśniewał. Dlatego napadał gwałtownie na płytkość Scribego i reformatorską ostrożność Delavigne'a, na beznamienne tragedye, bo przedewszystkiem ubóstwiał styl.

„Sztuka dla sztuki“, dla siebie samej: oto jego hasło. Kochał sztukę bez względu na moralność i niemoralność, narodowość lub obcy jej pierwiastek, albo też pożyteczność. Gautier jeden, namiętnie, odrazu, nie tak jak inni, stanął za axyomatem „sztuka dla sztuki“: i dlatego nazwisko jego stało się równoznaczne z całym owym ruchem. Dla niego był romantyzm walką przeciw nauce o użyteczności, proklamacją bezwarunkowej niepodległości sztuki.

Urodzony w r. 1811, pochodził z rodziny nawskroś royalistycznej. Ojciec jego, oficer waleczny, doczekał się późnej starości, a był głęboko ukształconym. Matka, przesłiczna kobieta, ubóstwiała go zarówno jak ojciec. Gautier miał już to szczęście, że go każdy pokochać musiał, może dlatego, że był wielkim artystą i wielkim dzieckiem.

W szkołach już miał swych ulubionych autorów rzymskich i staro-francuzkich, zrehabilitował też później całą grupę mniejszych poetów, których Boileau w swej *l'Art poétique* był potępiał. Ze szkół poszedł Gautier do malarza Rionta: i on sam i jego rodzice przecenili talent malarski, w rzeczywistości podrzędny w porównaniu z talentem malowniczego stylu. Młodzieniec rozpoczął występy swe na polu literackim od poezji lirycznych. Wydał swe „Poezye“ w dniu wybuchu rewolucji lipcowej; nie zwróciły one wcale uwagi. Gautier nie jest prawdziwie lirycznym, brak mu tkliwości; najlepszym jest w tych młodzieńczych poezjach, w których daje wyraz swemu pogańskiemu epikureizmowi. Dopiero w dojrzałych latach zdobył powodzenie jako liryk zbiorem p. t. „Emaux et Camées“, które formą przypominają Heine'go „Księgę pieśni“. Poeta chciał kolorystem, doskonałością i delikatnością formy, najsurowszą czystością i harmonią rymu, dać porównanie do miniatury arcydzieł agatu i onixu, pozostawionych nam przez starożytnych, albo do francuzkiego emaliowego malarstwa z czasów Odrodzenia. Dosięgnął on w tych poezjach piękności wyrażenia, którą nazwać można wprost idealną. Poemat *L'art* zawiera w stylu pomnikowym poglądy sztukę na Gautiera. Na końcu są takie strofy:

Tout passe.—L'art robuste

Seule a l'éternité.

Le buste

Survit a la cité!

Et la medaille austère

Que trouve un laboureur

Sous terre

Révèle un empereur.

Les dieux eux-mêmes meurent,

Mais les vers souverains

Demeurent

Plus forts que les airains.

Oto próbka, jak umiał pisać wiersze.

Chcąc mieć wyobrażenie o romantycznej cyganyerii, zgrupowanej wokoło W. Hugo, potrzeba przeczytać Gautier'a. Był to samo-parodya, niby satyra na romantyków, chociaż autor pozostał do śmierci prawdziwym artystą-cyganem, zawsze w rozterce ze społeczeństwem. Dokładne jednak wyobrażenie o talencie młodzieńca daje później wydana: *Mademoiselle de Maupin*

(1836), w której młodość tryska, jak szampan. Zdradza romans ten nadzwyczajne poczucie piękna, a jest zarazem odpływem młodzieńczej siły. Nadto oddaje on wiernie usposobienie plastyczne poety, którem się odróżniał od całego pokolenia. Ustęp z tego romanse jest jego autobiografią: „...Jestem takim poganinem jak każdy Grek, jak Fidasz... posąg miłszy mi od widma, a południe przyjemniejsze od zmierzchu. Trzy rzeczy zachwycają mnie: złoto, marmur i purpura — blask, siła i kolor. Z tych materiałów zbudowane moje marzenia... Na kobiety patrzyłem okiem rzeźbiarza. — nie kochanka, a całe życie dbałem o kształt flakonu, nie o jego zawartość“.

Nowella Gautiera *Fortunio* przypomina *Lucinde* Szlegla. Podobny też jest do Ticka swą poezją czystej formy, a do innych niemieckich romantyków przystaje całkiem swą nienawiścią utylitaryzmu. Axiomat jego: „l'art pour l'art“ jest prawdziwym w tym sensie, że sztuka nie może się poddawać tym regułom konwensu, które życiem żądają, bo życie i sztuka wobec pojęć moralności różnią się, jak niebo i ziemia. Dlatego starał się on wyzwolić sztukę z pod moralizującej krytyki: i ztąd słynna jest jego przedmowa do *Mademoiselle de Maupin*“.

W teorii miał Gautier słusność, gdyż poezya ma sobie właściwą moralność, jest ona sama przez się taką samą moralną potęgą, jak wiedza.... Są wprawdzie niemoralni poeci, ale ich niemoralność nie ma nic wspólnego z bezwzględnością będącą zadaniem sztuki.

Potrzeba było do tego malowniczego i plastycznego talentu Gautiera, który, inaczej czyniąc zadosyć moralnym wymaganiom, zmarnować-by musiał ten talent. Głównym jego darem jest to, że umiał świat zmysłowy wyrażać słowami; on też pierwszy rozszerzył przez to granice poezji. Wbrew twierdzeniom Lessinga w *Laokome* Gautier wzbogacił nowoczesny język francuzki wyrażeniami w. XV-go i XVI-go niesłusznie wyszłymi z użycia.

Romanse *Capitaine Fracasse* daje najjaśniejsze pojęcie o jego prozie. Widzi się tu osoby doskonałe, w ich kostiumie i z całą gestykulacją i nie traci się nigdy z oczu tła architektonicznego lub krajobrazu. Uczuciowość w sytuacjach wpływała tu z nadzwyczajnie ścisłej plastyki, gdyż wreszcie rzadko zapędzał się on w uczuciowość. To, co jest czysto-ludzkiem, wzruszającym, co jest życiem, straciło wszelki urok dla Gautier'a lat później: ztąd też zatracił on i poczucie dla dramatycznej sztuki, wobec uwagi na styl, kostium i dekorację. Ostatecznie przeto doszedł do odwrotnej strony axyomatu: „l'art pour l'art“, bo sztuka ta, obracając się ciągle około swojej osi, — wyjałowiała się. Czysty zapal dla sztuki wytworzył Galatę z marmuru, jednakże tylko prąd myśli danej epoki jest jedynie tym bożkim duchem, który i w marmur życie wlewa.

Dobrá atoli rzecz spełnił Gautier rozwojem sztuki takim, jakiego dokonał. Rozumieli go za życia jeszcze artyści i uczeni, tylko wielki świat czytających i literacko-ukształceni nie poznali się na jego przymiotach. Co prawda, że zwolna felietonista Gautier wyrugował z pamięci poetę Gautiera. Już w r. 1836 został dziennikarzem dla chleba; odtąd pozostał nim przez lat 36. Jako krytyk artystyczny i teatralny, dokonał herkulesowej pracy, gdyż dzieła jego, gdyby zebrać wszystkie artykuły, dałyby 300 tomów. Pisał przez 19 lat w *Girardina Presse*, a za Cesarstwa w *Moniteur officiel*. Krytyki jego teatralne mają tylko wartość stylistyczną; jako krytyk obrazów był Gautier nieporównanym mistrzem. Pomimo niezmierniej pobraźliwości, wywierał wielki wpływ na pisarzy i poetów. Od niego też pochodzą w prostej linii Paweł de Saint-Victor, Leconte de Lisle, liryk Baudelaire.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Spotyka nas zawód bardzo smutny, spowodowany przez wiadomość, którą *Gazeta Łódzka* podaje, o stanie tamtejszej *Taniej Kuchni* Nr. 1-szy, którą tak niedawno panie miejscowe otoczyły dobroczynną swą opieką i zajęciem czynnem. Warszawskim *Tanin Kuchniom* brakuje zupełnie dobroczynnego udziału kobiet, więc też była to nowina bardzo dobra, którą *Gazeta Łódzka* podała, a pismo nasze powtórzyło radośnie, że w Łodzi kilkadziesiąt pań wzięło na siebie obowiązek czynnego dozoru nad *Tanią Kuchnią*, położoną w tamtejszem *Starem mieście* i wydającą dziennie kilkaset obiadów, tak dla chrześcijańskiej, jak żydowskiej niezamożnej ludności. Wypisaliśmy długi szereg tych szlachetnych opiekunek ubogiego, aż naraz dowiadujemy się, że w Łodzi powtórzył się ten sam fakt, co niegdyś w Warszawie: panie dozoruujące zmęczyły się tą dobroczynną działalnością. *Gazeta Łódzka*, tak o tem pisze: „Szanowne panie nie wypełniają przyjętego przez siebie obowiązku dyżurów; są dnie, w których zaledwie jedna z pań jest na stanowisku, czasem nie ma nawet jednej”. W skutek tego — w skutek braku opieki i troskliwego dozoru, administracja zakładu źle funkcjonuje, brak jest należytej obsługi, brak potrzebnej kontroli. Zarząd, chcąc ułatwić czynności swoje, obrócił na ekspedycją jeden z pokoi jadalnych, i w dwóch pozostałych zapanowała taka ciasnota, taki upał i zaduch, że niepodobna prawie wytrzymać tam w czasie obiadowania stołowników, co zapewne przyczyniło się do cofnięcia się pań od ich przyjętego obowiązku, który teraz stawał się uciążliwym. Ale właśnie należało podnieść głos przeciw wadliwemu urządzaniu, tem więcej, że *Gazeta Łódzka* zarzuca *Taniej Kuchni* Nr. 1 jeden jeszcze brak bardzo ważny: brak czystości, niemycia łyżek i naczyń. Ze przecież między stołownikami mogą się znajdować ludzie chorzy, niebalałość ta jest bardzo grzeszną. Dla takich to właśnie usterek w obsłudze, dla kontroli nad obiadami, tak bardzo pożądanym jest w zakładach dobroczynnych tego rodzaju dozór opiekunek. Miejmy też nadzieję, że złe, o którym doniósł nam dziennik łódzki, jest tam tylko chwilowem.

— Londyński uniwersytet przyznał po raz pierwszy kobiecie godność doktora umiejętności; otrzymała ją M-rs Zofia Bryant, rodem Irlandka. M-rs Bryant, studiując sama i przygotowując się do doktoryzacji, była współcześnie nauczycielką w kollegialnej szkole dziewcząt północnej części Londynu, gdzie wykładała matematykę, utrzymując się z tego.

— Równie pierwszy raz, i to nie tylko w Uniwersytecie Londyńskim, ale w Anglii, kobieta otrzymała godność *mistrza sztuk* „Master of Arts”. Tą tryumfatorką jest Miss Marya Klara Dawes, studiująca od r. 1879.

— W Edynburskiej *Szkole gotowania i ekonomii domowej* odbył się doroczny popis, wykazujący wiadomości nabyte przez uczennice w czterech gałęziach: gotowania dla klas rzemieślniczych, dla klas średniozamożnych, dalej kuchni wytwornej i kuchni dla osób słabych. Nauka ekonomii domowej dzieli się też na cztery podobne oddziały: dla klas ludowych, średnio-zamożnych, bogatych, wreszcie urządzenie domu osób słabowitych. Wszystko to jest połączone z praktycznym kur-

sem higieny i uczennice wszystkich wydziałów razem na nią uczęszczają. Zakład daje też naukę kroju i szycia bielizny, oraz kroju i szycia odzieży, bo to wchodzi w zakres ekonomii domowej.

— Wstępuje obecnie w Anglii kwestya nowa: pracy służących. W Londynie zadawałnają się one zwykle kilku godzinami swobody w Niedzielę, czy to w godzinach popołudniowych, czy wieczorem, ale w wielu miastach prowincjonalnych i po wsiach zaczyna być inaczej. Świecenie Niedzieli jest tam obchodzone bardzo surowo i w domach, które nie są tak zamożne, aby przy licznej służbie prowadził się już ten wyższy ton, który wszystkie drobne przeszkody w wygodach życia usuwać sobie może. obiady składają się z zimnych mięsów, herbaty i jaj. Ponieważ w wyznaniu anglikańskim i nabożeństwo popołudniowe, nie szpory, są tak obowiązujące, jak w katolicyzmie msza przedpołudniowa, więc nie ma czasu obiadów gotować. Jest tak głównie w Szkocji, ale wszędzie w całej Anglii, z wyjątkiem sfery arystokratycznej, praca służących niemal ustaje w Niedzielę i państwo służy sobie sami. Ale do tego już się przyzwyczajono; przecież obecnie służące żądają jeszcze jednego wieczora lub popołudnia swobody tygodniowo, bo Niedziela nie liczy się do dnia załatwianych interesów lub zabawy. Panie nieliczne służby protestują, ale głos prasy nie przyznaje im słuszności. Służąca — zwłaszcza ciężko zapracowana, służąca do wszystkiego, która w Anglii tworzy najliczniejszy zastęp robotnic domowych — to człowiek przecież potrzebujący mieć swoje chwile rozrywki, odetchnienia, oświecania się wreszcie. Cywilizacja ma swoje prawa. Pisma — bynajmniej nie radykalne — odzywają się z uznaniem tej dodatkowej potrzeby moralnej sługi: że jej też należy być czasem na wystawach sztuki, w muzeach i t. d. Płomaczą, że służąca przez takie odświeżanie myśli, przez taką przyjemną godzinę swobody, zyska na chęci do pracy, na humorze, na inteligencji ożywionej.

— Książka Teodora Stanton: „Kwestya kobieca w Europie” wyjdzie wkrótce w drugim, dla Europy przeznaczonem, wydaniu w Londynie. O kobiecie angielskiej pisze tam Miss Cobbe, Mrs. Fawcett i inne jeszcze panie.

— Ludwika Michel nie została objętą ogłoszonem we Francji, ułaskawieniem więźniów politycznych.

— Rząd francuzki zakazał wydzierżawiania kobietom praw do polowania, i we Francji nie wolno jest obecnie polować kobiecie na zające, króliki, kuropatwy, tylko w miejscach zamkniętych, otoczonych murem. Powodem do tego były liczne wypadki źle wymierzonych strzałów, jakkolwiek wiele Francuzek, szczególnie w wsi wychowanych, tak z pomiędzy starej arystokracji, jak z pomiędzy wieśniaków, strzela bardzo dobrze.

— W Seligenstadt, w Niemczech, przy pożarze fabryki krochmalu zajął się dom nadzorcy fabrycznego, w którym znajdowały się same dzieci. Rodziców nie było w domu, który został tak objętym przez płomień, że nikt z przytomnych już się tam wdrzeć nie śmiał i wtedy młoda dziewczyna, Salomea Giel, córka fabrycznego ślusarza, wybiła okno i uniosła z pożaru troje, już prawie nieprzytomnych, omdlałych dzieci. Dyrektor zakładu ofiarował młodej bohaterce bogaty krzyż złoty z pamiątkowym napisem.

— W Genewie, przy ulicy: des Chaudronniers, Nr. 16, znajduje się od 1874 r., założone biuro pomocy w wysyłaniu nauczycielek i bon szwajcarek, za granicę kraju. Biuro to nie jest bynajmniej kantorem stręczeń i działa całkowicie w celach dobroczynnych i obywatelskich, wskutek tego

otrzymuje też ono poparcie od rad kantonalnych i związkowego rządu Szwajcaryi. Komitet biura działa w dwóch kierunkach: najpierw usiłuje nie dopuszczać wyjazdu na nauczycielki, czy bony, takich osób, których obyczaje, oraz brak przygotowania naukowego, albo słaby stan zdrowia stają na przeszkodzie, aby obowiązki swe uczciwie wypełniać mogły, i następnie osobom, które warunkom swego powołania dobrze odpowiedzieć mogą, pomaga do wyjazdu i w tym celu pośredniczy między nimi a publicznością, jak każdy zwykły kantor stręczeń, z tą tylko różnicą, że żadnej opłaty pieniężnej za to nie pobiera, co już jest najdowodniejszą rękojmią, że działa jedynie w interesie ludzkości. Nauczycielkom i bonom, wysłanym zapewnia stale opiekę swoją, i w razie potrzeby pomoc; dlatego komitet biura, zostaje w związku ze wszystkimi konsulatami szwajcarskimi, przez które następnie działa. Nawet tym nauczycielkom i bonom Szwajcarkom, które nie za jego pośrednictwem wyjechały za granicę, opieki i pomocy nie odmawia, jeżeli w smutnym wypadku zwrócą się do niego.

Otwarte 4 listopada 1874 r. w ciągu roku, zyskało sobie biuro takie uznanie ze strony rządu kantonów: Genewskiego, Freiburskiego, Neuenburskiego i Waadt, że policzono je do zakładów użytku publicznego, od 1876 r. biuro otrzymało zapomogę pieniężną od rządu kantonów Genewskiego i Waadt. Działając już ze współudziałem władz, doprowadziło do tego, że dziewczętom małoletnim, wymienionych kantonów nie wolno jest obecnie wyjeżdżać bez paszportu, to jest bez pozwolenia rodziców czy opiekunów, potwierdzonego przez urząd odpowiedni. Obecnie dyrektorem biura jest Gwidon (Guy) Claperède, dyrektorką M-elle Chenaud; raporta biura podaje, że wyjazd Szwajcerek za granicę zwiększa się rok rocznie, i że obecnie z kantonów Francuzkich, przebywa poza granicą około dwóch tysięcy. Wedle wykazu, za rok od 1882 do 1883 zgłosiło się miejsca szukających 548, żądań zaś nauczycielek i bon było 412. Komitet przecież obsadził tylko 189, zatem tej liczbie osób dał umieszczenie. W roku bieżącym zapisało się po dzień 1 Kwietnia 173 miejsca szukających i 75 zgłaszających się głównie o bony. Między umieszczonymi osobami było 26 osób nie Szwajcarek: 15 Francuzek, 10 Niemek, 1 Hollenderka. Przyrost miejsca szukających jest taki, że gdy w latach od 1881 do 1882 było ich tylko 300, w następnym roku już 548.

Wysłane mają obowiązek przynajmniej raz do roku z dyrekcją biura się znieść; czynią to niemal wszystkie, a wiele powierza dyrekcji oszczędności swoje. W roku ubiegłym dwanaście z nich przysłało na ręce dyrektora 7.000 fr., cztery za jego pośrednictwem zapisało się w kassie emerytalnej nauczycielek. Prezydentem komitetu biura, jest Gustaw Moynier, prezydujący zarazem w międzynarodowem stowarzyszeniu Genewskiego Czerwonego Krzyża.

Wszystko wykazuje, że biuro jest uczciwą i szlachetną cel mającą instytucją, należałoby też zwracać się do niego, gdy kto żąda Szwajcarkę na nauczycielkę swych dzieci. W wyżej wymienionem sprawozdaniu biura zaznaczono też, że z Rosyi, Polski i Niemiec było żądań najwięcej.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczo* dołącza się powieści pod tytułem: **Sąd Boży**, arkuusz 7-my.

TREŚĆ. Pogawędka. — Udział żon w winach mężów, przez Wandę Podgórską, (dokończenie). — Któs, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Za Oceanem, przez Helenę Negroni. — Listy z Magdeburga I, J. I. Kraszewskiego. — Romantyzm we Francji, (dalszy ciąg), przez Edwarda Lubowskiego. — **Kronika działalności kobiecej.**

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 11 Юля 1884 года.